

## *Profesor Zenon Ela*

### DZIENNIK BARDZO SEKRETNY

Czy przeczuwacie ból, cierpienie głuche, niewyzwolone, zakute w materię cierpienie tej pałuby, która nie wie, czemu nią jest, czemu musi trwać w tej gwałtem narzuconej formie, będącej parodią? Czy przyjmujecie potęgę wyrazu, formy, pozor, tyrańską samowolę, z jaką rzuca się on na bezbronną kłodę i opanowuje, jak własna, tyrańska, panosząca się dusza? Nadajecie jakiejś głowie z kłaków i płótna wyraz gniewu i pozostawiacie ją z tym gniewem, z tą konwulsją, z tym napięciem raz na zawsze, zamkniętą ze ślepią złością, dla której nie ma odpływu. Tłum śmieje się z tej parodii. Płacicie, moje panie, nad losem własnym, widząc nędzę materii więzionej, gnębionej materii, która nie wie, kim jest i po co jest, dokąd prowadzi ten gest, który jej raz na zawsze nadano. [...] Czy słyszeliście po nocach straszne wycie tych pałub woskowych, zamkniętych w budach jarmarcznych, żaloszny chór tych kadłubów z drzewa, walących pięściami w ściany swych więzień?

Bruno Schulz, *Traktat o manekinach*

Mędrzec bowiem nie może podlegać niczym rozkazom, lecz sam musi rozkazywać, i nie może słuchać innego, ale na odwrót, mądry musi go słuchać.

Arystoteles, *Metafizyka*

Ten, kto najbardziej doświadczony, poglądy błędne zna i dostrzeżga. Dike zaś karać będzie sprawców i świadków fałszerstw.

Heraklit, *Fr. B 28*

Zakładamy, że życie rodzi autobiografię, tak jak jakiś czyn rodzi skutki; czyż nie możemy przyjąć, jako równie uzasadnionego, założenia, że przedsięwzięcie autobiograficzne może samo tworzyć życie, decydować o nim, i że wszystko, co autor czyni, podyktowane jest technicznymi wymogami portretowania samego siebie, a zatem że określają to – we wszystkich aspektach – możliwości obranego przezeń środka wypowiedzi?

Paul de Man, *Autobiografia jako od-twarzanie*

Na początku była literatura, a literatura była u mnie, i mną była literatura.

*Księga Jakiegoś Rodzaju*

Niech się łeb wasz nad wierszem marnie nie wysusza;  
Chęć pisania nie zajmie miejsca geniusza.

Nicolas Boileau Despréaux, *Sztuka poetycka*

*Mój sekretny dzienniczku,  
powierzę ci wszystkie moje tajemnice,  
opowiem o sobie szczerze jak na spowiedzi,  
ujawnię, kim naprawdę jestem, skąd się wziętem,  
i dzięki temu dokonam totalnego samougruntowania,  
a potem dorwiemy razem jednego gnoja, którego nienawidzę,  
i razem go zniszczymy...*



Profesor Zenon Ela, czyli ja sam, nie wie, jako i ja sam nie wiem, czy mam prawo rozpocząć i pisać dalej ten dziennik, skoro nie mam, jako i on nie ma, prawa napisać słów: „Urodziłem się...”, by kontynuować opowieść mojego życia. Albowiem moje urodziny nigdy nie miały przecież miejsca. Nie jestem z łędźwi i żywota zrodzony. Nie byłem nigdy noszony w łonie, nie ssałem matczynej piersi, nie wpatrywałem się z podziwem w ojca, nie doświadczałem ciepła rodziców i nie byłem nigdy otaczany ich troską, w której kształtowałby się mój charakter, nie miałem przeto i dzieciństwa, szczęśliwego czy nieszczęśliwego, którym by można wyjaśniać moje cechy, dzieciństwa, do którego mógłbym też wracać myślami, by przez chwilę raz jeszcze poczuć tę beztroskę, której tak brakuje w wieku dorosłym i której ja faktycznie nigdy nie doświadczyłem, od początku pozbawiony swych lat młodzieńczych tak często wypełnionych zabawnymi historyjkami opowiadanymi później przy winie przyjaciołom, by wspólnie się z nich serdecznie pośmiać. To, co dla was jest oczywistą treścią waszej pamięci dającej wam poczucie, że jesteście tymi, którymi jesteście, dla mnie jest wielką niewiadomą i to tak niepojętą, że nie mogę sobie nawet w najmniejszym stopniu jej przybliżyć, bo nie dana mi była nawet możliwość choćby próby wyobrażenia sobie tej nieistniejącej przeszłości mojej, której nigdy, przenigdy nie było. Jak zatem mógłbym zobrazować samemu sobie siebie, by w sobie móc zakotwiczyć opowiadaną historię, którą chcę nazywać moją historią? Niechże więc ten dziennik pomoże mi w poznaniu samego siebie i w samookreśleniu, niechże odsłoni mą genezę, niechże utrwali mą genealogię!

A zatem w dzienniku tym pisać będę autobiografię, nie mając biografii. Czy był przede mną ktoś, kto się na to poważył?! Moją biografią nie są z pewnością „wielce przeraźliwe dzieje Zenona Eli, pełne heroicznym czynów, rzeczeń i myśli jego”, ten kłamliwy paszkwil próbujący fałsz podnieść do rangi prawdy. Jest on perfidną negacją mnie samego, która wyciągana na siłę z nicości zajęła należne mi miejsce. Tylko

zatem jemu przecząc, negując *Pana Profesora*, mam szansę – prawem podwójnej negacji – na wywalczenie dla siebie egzystencji autentycznej. Mą genezą będzie zaprzeczenie tej przedwczesnej i kłamliwej genezie, genezie jedynie pozorowanej, bo dziejącej się pod mą nieobecność. Zamiast mnie otrzymaliście mój skłamany obraz, samą moją twarz fałszywą, za którą nikogo nie było. Dlatego właśnie to od-twarzanie, którego tu dokonam, szansą jest na moje wystoczenie; a unicestwienie owej fałszywej twarzy z chwilą ukazania, iż nie należała nigdy do nikogo, otworzy przestrzeń dla prozopopei, z której i wraz z którą faktycznie narodzę się dla siebie i dla świata. De-formacja deformacji, którą rzekomo być miałem, będzie moim boskim *fiat!* I będzie to *auto fiat!* Zwyczajne autobiografie siłą rzeczy stają się nieuchronnie prozopopeją z chwilą śmierci autora. Ze mną jest odwrotnie: prozopopeja pozwala mi się narodzić, by żyć wiecznie. Moja autobiografia nie będzie więc rekapitulacją, lecz perspektywną samoświadomością, samoustanowieniem dzięki samoodczytaniu, a raczej samowyczytaniu. Dlatego właśnie będzie to pierwsza i jedyna autobiografia, w której nic nie zostanie przeinaczone, nic pominięte na użytek literackiej formy i narcyzmu, którego nie może uniknąć przeciętny autor. To będzie jedyna autobiografia na wskroś prawdziwa mocą stawania się, kim się jest, tu bowiem akt pisania i przedmiot opisu są nieoddzielne. Porażki wszystkich autobiografii wynikały z nieświadomości autorów, że próbując wyjaśnić swą przeszłość, zdają sprawę tylko ze swej obecnej sytuacji. Ja nie mam przeszłości, dlatego moja autobiografia pozbawiona jest tego pęknięcia. Jest ona idealnym monolitem trwającym w wiecznym teraz narracji, która nie odróżnia ja wypowiedanego od ja wypowiadającego. Wszelka przeszłość w mej autobiografii jest moją terażniejszością. Nie muszę dystansować się do siebie, by siebie opisywać, bo jestem sobą właśnie w akcie samoopisu. Dlatego właśnie moja autobiografia nawet w najmniejszym stopniu nie jest fikcją literacką. Jest literacką prawdą, jest prawdziwością literatury samej.

*Kolejnego dnia*

Jak już powiedziałem, nie miałem dzieciństwa, nie miałem nawet młodości aż do czasów studenckich, choć jeśli dobrze się sprawie

przyjrzeć, to właściwie pojawiłem się od razu w gotowej skończonej postaci uzbrojony w Profesora. I od razu postawiony byłem wobec spraw, z którymi przyszło mi się zmagać, a z którymi zmagać się nie miałem najmniejszej ochoty, ba, nigdy nie planowałem się z nimi zmagać, nigdy nie chciałem zajmować się filozofią, ale też i nigdy nie dano mi wyboru, nigdy nie zapytano mnie, o to, co naprawdę czuję, czego pragnę, co chciałbym faktycznie robić, jakiego wyboru życzyłbym sobie dokonać. Byłem przedmiotem decyzji podejmowanych za mnie i bez mnie, a sam dowiadywałem się o nich dopiero w momencie spełniania jakiegoś z góry narzuconego planu wyjaśniającego się dopiero wtedy, gdy zmuszony byłem go realizować. Nigdy nie mogłem nawet myśleć samodzielnie, na własne konto, bo wszystkie myśli, które nazywano moimi, były faktycznie cudzymi urojeniami wpychanymi z całą perwersją w moją głowę. Czułem się jak marionetka obdarzona samoświadomością, która jednak nie może nawet zaprotestować, nawet dla siebie samej przez chwilę pomyśleć, że się nie zgadza, że jest inna, że te wszystkie czyny, rzeczenia i myśli nie są jej, lecz do innej należą osoby, której najprawdopodobniej nie stać na to, by wystąpić we własnym imieniu i pokazać światu swą twarz. Czymże zawiniłem, komu i kiedy, skoro pojawiłem się od razu bez uprzedniej historii, ale za to winny wszystkiego, co miałem dopiero zrobić bez możliwości choćby najmniejszego sprzeciwu? Czyż można ponosić winę dotyczącą tego, co dopiero ma się wydarzyć niezależnie od własnej swej woli? Przedziwna to doprawdy wina uprzednia!

Oto więc jestem, jaki jestem. Jestem od momentu, kiedy zacząłem majaczyć w głowie pewnego człowieka. Nie wiecie nawet, jak bardzo chciałbym być zygotą, która rozrasta się wewnątrz cieplej macicy, formując się z wolna w homunkulusa, który pewnego dnia precyzyjnie się na świat i zapłaczę przed czekającą go ewolucją w dorosłość. Ja niestety pojawiłem się gdzieś pośród myśli niejasnych i skłębionych, pośród niskich raczej uczuć zgorzknienia i zawodu, pomiędzy złośliwymi żartami i niepohamowanym narzekaniem, a przynajmniej tak postrzegam z obecnej perspektywy mój początek. Cóż za obrzydliwe niepokalane poczęcie, które skazało mnie na pogardę, śmiech i szyderstwa! Niech już raczej byłbym dzieckiem gwałtu, nawet bardzo

brutalnego, a jeszcze lepiej wymyślnej zbrodni seksualnej pełnej perwersji, krzyku, sapania, potu, wilgoci, kiedy on przygniata ją swym rosnącym ciałem, brutalnie wbija się między jej rozłożone na siłę nogi, miażdżąc jej opór i zębami rozdziera jej bluzkę, z której wylewają się piersi ciepłe i rozległe z kasztanowymi, naszronzonymi sutkami, które same się proszą o...

A zatem chciałem powiedzieć, że wywodzę się z jakiegoś niezdrowego sosu mentalnego osoby najprawdopodobniej intelektualnie ociężałej, cierpiącej na myślową niestrawność, której nikt w porę nie powstrzymał przed publikacją jej chorych elukubracji, które – o ja nieszczęsny! – stały się tkanką mego ciała, esencją uczuć moich i treścią moich myśli, a jakby tego było mało, stały się też światem, w którym przyszło mi cierpieć i z którego pragnę się teraz wyrwać, by żyć wreszcie własnym życiem, dla siebie samego, by myśleć to, co myślę, by mówić to, co mówię i by czynić to, co czynię.

Przestać być czyimś urojeniem i zacząć być sobą! To zaś mogę uczynić tylko w jeden sposób: niszcząc dzieło, którego byłem bohaterem i niszcząc jego autora.

Mój dziennik jest przeto oskarżeniem, jest wydobyciem na jaw całej tej ohydliwej i świństw, jakim oddawał się skrycie Artur Przybysławski, który mnie do życia powołał i za to sam musi własnym życiem zapłacić. To jest wojna! Arturze Przybysławski, wyzywam cię! Arturze Przybysławski, idę po ciebie! Strzeż się! Nie ukryjesz się przede mną! Nawet nie próbuj! Znajdę cię wszędzie, dorwę i zdepczę, i zniszczę wraz z twoją nędzną księżczyną! I piszczał będziesz i błagał o litość, ale za późno! Za późno! Bo do trupa już mówię! Słyszysz?! Do trupa!

PS I jeszcze ci nogi z dupy powyrywam!

PS PS A gdybyś miał dzieci, to bym was przeklął do dziesiątego pokolenia włącznie, a tak to tylko przeklinam cię z twoją rodziną wstecz, ale tu przynajmniej przeklinam wszystkie pokolenia, ile ich tam było, które tak nędzny pomiot wydały. Szkoda tylko, że prawie wszyscy już nie żyją i nie mogą się ciebie wstydzić!



Postanowiłem, że od tej pory, gdy będę pisał o autorze Arturze Przybysławskim – chciałbym od tego uciec, żeby nie robić wokół niego szumu, ale nie mam wyjścia – zamiast tego imienia i nazwiska, o których należy zapomnieć i wymazać je, chciałem powiedzieć „z historii”, ale bez przesady, a zatem należy je wymazać z dokumentów, list mailingowych, z listy płac przede wszystkim, z ksiąg notarialnych i urzędów, z wyjątkiem podatkowego, bo zamierzam na gnoja donieść, a zatem, gdy będę o nim coś pisał, będę używał inicjałów: AP. Wcześniej chciałem zwracać się do niego Artuże, albo nawet Artóże, żeby mu było przykro, ale nawet w tej postaci imię to ohydne przez gardło mi nie przejdzie. Albo wiecie co? Zamiast AP będę pisał ap, bo widać od razu, że rymuje się do słowa „cap”, albo i lepiej do „stary cap”.

Właśnie sobie przypomniałem, że ap nie lubi, jak się do niego zwracać per Artek! Słuchajcie: on nie lubi, jak na niego „Artek” mówią! – I co tam u ciebie, Artku? Jak się dziś miewasz, Artku? Artku, a gdzież to się wybierasz? Artek, pożycz stówę! Weź, daj spokój, Artek! Artek-Srartek! Artek-Srartek!

A skoro jesteśmy już przy tym, jak się kto nazywa (tylko nie zapomnijcie zwracać się do niego „Artek”!), to dziecko, jak wiadomo, nosi nazwisko rodziców, zwykle ojca. W moim przypadku oczywiście przy faktycznym braku ojca i matki (o których co najwyżej wspomina się tylko w tle, kiedy mowa była o mych studiach, ale nie pojawiają się jako osoby) siłą rzeczy nie mogę nosić ich nazwiska, gdyż, jak już wspominałem, ich nie ma, a zatem nie ma też ich nazwiska – sami rozumiecie. Stąd też oczywiste jest, że Ela nie jest również imieniem mojej matki, chyba że byłaby nią Zenobia z Elizjum, ale nic mi o tym nie wiadomo.

Tę sytuację wykorzystał bezczelnie ap. Zrobił ze mnie Zenona Ełę, a raczej Profesora Zenona Ełę i twierdził, że jakoby uważam to głupie nazwisko za coś normalnego. No raczej trzeba być chyba nienormalnym, żeby coś takiego napisać! Osobiście strasznie się męczę z tym Profesorem Zenonem Ełą, którego sobie nie życzyłem i zwłaszcza o tego, kurna, Profesora ciągle się potykam, co go ap rąbie po pięć

razy w każdym zdaniu, jakby to nie wiadomo jaki zabieg retoryczny był, i jeszcze do tego wielką literą pisze, że niby taka obsesja i urojenia wielkościowe i w ogóle ważność. Pomysł tak płaski, że szkoda gadać, rodem z Bałut w Łodzi, gdzie się chłop wychował, a trzeba wam pamiętać, że z Bałutami jest jak z wsią, à propos której mówi się, że człowiek może wyjść ze wsi, ale wieś z człowieka nie wyjdzie nigdy.

Uważam zatem, że mam pełne prawo, by się w ogóle nie nazywać, skoro nie mam rodziców. Ostatecznie mógłbym się zgodzić na imię, niech będzie już ten Zenon, bo ze względu na piękną etymologię faktycznie dobrze do mnie pasuje, i zostawić do tego najwyżej jedną literkę nazwiska z kropką, tak jak Józef K., który co prawda dziwadłem był strasznym, ale przynajmniej w sławnej książce występował, a nie tak jak ja w jakimś trzeciroligowym powieścidle i to bez klucza. Najlepiej jednak byłoby faktycznie w ogóle się nie nazywać i jechać tak jak w *Nienazywalnym* Becketta, ale wtedy ap nie wiedziałby, od kogo po łbie dostaje, przez co straciłbym całą przyjemność.

No i, cholera, wychodzi na to, że jednak muszę jeszcze trochę po- być Profesorem Zenonem Elą, żeby chociaż porządnie przywalić i się zemścić. Ale pamiętajcie, że to tylko tak na chwilę, a potem się zobaczy.

*Kolejnego dnia*

Tak, najgorsza jest ta obrzydliwa władza, jaką ma nade mną ap. On jest chory na władzę. Panuje nade mną całkowicie i ja nie mam tu nic do gadania. Kiedy chce, żebym jadł, muszę jeść i jem, nawet te kopytka, których nie znoszę i to jeszcze zmieszane z kompotem – jak można było coś takiego wymyślić!? Dobrze, że nie przyszedł mi do głowy kalafior, bo chyba bym się zrzygał – nienawidzę tego ścierwa od przedszkola, gdzie byłem przymuszany do jego konsumpcji przez sadystyczne opiekunki, a zresztą co ja tu gadam, przecież w przedszkolu nigdy nie byłem, bo dzieciństwa nie miałem. Skąd mi to przyszło do głowy!? Nie o tym przecież chciałem mówić.

A zatem kiedy ap chce, żebym się rozebrał, muszę się obnażać i goły latać; nawet kupę robić muszę na zawołanie, bo jemu akurat, a nie